

Zaraz wracaj!

(Opowiadanie z tomu *Tysiąc i jeden dzień na Kazimierzu*)

Zbiegam z piętra po schodach. Na dole dogania mnie głos matki: „Zaraz wracaj!”. Klatka schodowa ma szczególne właściwości akustyczne, rezonuje dźwięki niczym pudło okazałego instrumentu, wzmacniając jego siłę, modulując barwę, a także dzieląc go na osobne strumyki, które wybrzmiewają w postaci nakładających się na siebie koncentrycznych fal echa. Balustrada z kutych, żelaznych prętów, nie mająca żadnych pretensji do secesji, ma jednak duszę niezwykłej harfy. Odzywa się tonami niskimi i tak wyrazistymi, że zawsze wywołują one żywą reakcję. Muzyka balustrady-harfy jest niewątpliwie rodzajem nazbyt awangardowego eksperymentu, stąd opinia słuchaczy-lokatorów jest zazwyczaj gwałtowna i jednolicie krytyczna. Wystarczy posłużyć się byle patykiem, włożywszy go w sztywne, żelazne struny i pociągnąć melodię z drugiego piętra na parter, by wywołać reakcję łańcuchową. I stało się pewnego dnia tak, że ten mały, butwiejący ul, z resztką starego roju, uniósł się parę centymetrów nad ziemię w ogromnej chmurze siwego pyłu, po czym bezwładnie opadł, rozsypując się na drobne kawałeczki. Zjawisku temu towarzyszyła potężna detonacja.

Wybiegam z domu przeskakując schodki przy bramie i wpadam w sam środek wiosny. Gonią mnie jeszcze te dwa słowa wypowiedziane przez matkę, ale także goni mnie zapach gołąbków z kaszą i mięsem, które dziś będą na obiad. Uwielbiam gołąbki, a jeszcze polane sosem pomidorowym – niebo w gębie! Nie dam się więc tym razem skusić nikomu i niczemu – ani kolegom, ani załkom. Nie dam się wciągnąć w rozmowę z kamieniami; wystarczy dotknąć opuszkami palców kamiennego muru okalającego cmentarz Remu`h albo przytknąć policzek do gotyckiej cegły kościoła Bożego Ciała lub spojrzeć pod nogi na kocie łby, w których tkwią szyny, pamiętające jeszcze konny tramwaj. Przekażę tylko ciotce to, co mam do przekazania i zaraz wracam. Wracam na skrzydłach – jeść moje ukochane gołąbki z kaszą i mięsem! I w pomidorowym sosie! Zadanie, które mi powierzyła matka jest banalne, a jednocześnie poważne, bo wymaga odpowiedzialności; jestem przecież kimś w rodzaju pocztyliona! Gdybyśmy mieli telefon, gdyby ktokolwiek w kamienicy ciotki miał telefon. Prawdziwe telefony są w urzędach, w komisariatach. To chyba oczywiste!

Biegnę przez środek miniaturowej łąki, przez wiosenny klomb zdobiący Plac Bawół. Pan Latko pozamiatał wszystkie resztki zimy, poucinał obumarłe gałęzie, skopał grządkę,

pomalował wesołymi kolorami ławkę, wymienił żarówkę przy numerze domu, zadbał o okruchy dla wróbli i gołębi.

Piekarenka mieszcząca się przy ulicy Bartosza pracuje pełną parą. Białe, skrzydlate obłoczki wylatują przez komin i mieszają się ze stadem pocztowych gołębi, które kołują nad dachami kamienic. Z tyłu piekarenki jest magazyn, w pobliżu którego stanął wóz załadowany po brzegi workami z mąką. Dwa, niczym ze spiżu, perszerony zaprzęgnięte do wozu parszczą i krzeszą kopytami iskry. Z końskich nozdrzy co chwila wydobywają się kłęby pary, jak z osobliwego, wypełnionego ukropem czajnika. Raz po raz potężnymi cielskami wstrząsa dreszcz, a ogony chłuszczą błyszczące od potu, brązowe zady. Woźnica rzuca derki na parujące grzbiety i zawiesza przy końskich pyskach pękate worki z owsem.

Wyładunek przebiega w jednostajnym, wolnym tempie, bowiem wymaga nie lada wysiłku, a także zastosowania odpowiedniej metody. Po opuszczeniu burty wozu kolejno worek za workiem stają na samej krawędzi platformy po to, by mogły łagodnie wskoczyć na kark tragarza. Ten, odwrócony tyłem do wozu, unosi ręce za głowę, chwytając wórz za rogi i zarzuca go sobie na plecy. Wysilkowi temu towarzyszy głębokie stęknienie, po czym, przywalony ciężarem tragarz, kolebiąc się na szeroko rozstawionych nogach, wolnym krokiem i z widocznym grymasem na twarzy przemierza małe podwórko piekarni, by zniknąć w korytarzyku prowadzącym do magazynu. A wokół wozu biało. Ścieżka do piekarni, robotnicy, końskie derki, uprząż, dyszel – wszystko poproszone mąką, jakby to była baśniowa zima zamknięta w szklanej kuli.

Jak tylko jest okazja, siadamy na szczycie wysokiego, drewnianego parkanu, odgradzającego plac od mojego podwórka, by oglądać to darmowe przedstawienie, tym bardziej fascynujące, że wszystko jest w nim prawdziwe. Nie ma tu miejsca na teatralne atrapy, maski czy cudze teksty recytowane z pamięci, jest sama brudna, pełna nieprzewidywalnych sytuacji, cudowna rzeczywistość. Można zeskoczyć w dół na tę scenę i nasycić się jej szczegółami. Przyglądamy się więc twarzy i rękom tragarza, jego salopce z kapturem, to jest pustemu workowi spoczywającemu na głowie, kręcimy hakiem, który służy do zapinania burty, wślizgujemy się pod wysokie zawieszenie wozu i oglądamy go od spodu, podziwiamy z zapartym tchem i lękiem potężne cielska perszeronów.

Okna piekarenki wychodzą na ulicę. Ściśle biorąc, są to dwa otwory okienne wypełnione szklanymi kostkami. U góry tych okien znajdują się uchylone lufty, przez które buchają z wnętrza kłęby aromatycznego ciepła. To wszystko bardzo nęci, więc małe dzieciaki podchodzą bliźniutko, przylepiają nosy do grubego szkła i wypatrują oczy, by zobaczyć to, co dzieje się w środku. A widać wszystko prócz wnętrza piekarni i tego, co w niej powinno się

znajdować. Rozciekawione oczy widzą statki płynące po wzburzonym morzu, wyspy z rosnącymi na nich palmami, cyrkową arenę i tresurę słoni, clownów chodzących na wielgachnych szczudłach, ognie bengalskie itp.

Ja nie jestem już małym dzieckiem, więc biorę rozpęd, skaczę na ścianę, przyklepam się do niej, szukam oparcia dla nóg i tak tkwiąc niepewnie, mogę zajrzeć przez uchylony luft do środka. Uderza biel, która jest wszędzie – na ścianach i na podłodze, na twarzach piekarzy, na ich bosych stopach odzianych w wysłużone sandały. Wprawne ręce ugniatają kawałki ciasta zważone wcześniej na wiszącej, chybotliwej wadze. Powstają bochny chleba, rogale, strucle, kajzerki. Uwagę przykuwa okrągła, stojąca na kółkach kadź, w której stalowe ramię wyrabia ciasto. Przypomina to scenę z farbiarni, bo z kadzi co chwila wynurza się płat białego płótna, opada w dół, po chwili wynurza się znowu i tak aż do skutku.

- Ty, popłoś o bułkee! – słyszę dolatujący z dołu głos i czuję lekkie szarpnięcie za nogawkę. Spoglądam w dół i widzę umorusaną twarz Jacusia. Wzruszam ramionami i zeskakuję na chodnik zupełnie obojętny na prośbę pięciolatka, który nie jadł śniadania, na obiad zje ziemniaka bez omasty, a na kolację doje tę resztę, która zostanie z obiadu.

- Idź se kup! – mówię, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to bezczelne i niegodziwe. Jacuś patrzy na mnie smutno wielkimi, czarnymi oczami i wyciera niemiłosiernie brudnymi dłońmi swe policzki. Rozchodzimy się bez słowa, każdy w swoją stronę. Jacuś biegnie do zatechłej suteryny z rozbitą szybą w oknie, a ja, kontynuując ważną misję, skręcam w ulicę Wawrzyńca.

Warsztaty Naprawcze Taboru Autobusowego MPK znajdują się zaraz za firmowym sklepikiem piekarni. Można je rozpoznać z daleka, ponieważ prowadzi do nich długi szereg wielkich, metalowych bram. W jednej z nich otwarte są małe drzwiczki. Nie mogę oprzeć się pokusie i przetykając lęk zanurzam się w mroczną czeluść. Halę, istną kuźnię Hefajstosa, wypełnia stukot młotków i deszcz iskier. Jest też coś niepokojącego – diaboliczny chichot! Tym bardziej jest to niesamowite, że wydobywa się on spod ziemi.

Wreszcie rozpoznaję stare, wysłużone SAN-y. Jeden z nich jest rozpruty, ma otwarte trzewia, z których wylewa się ciemna, oleista treść. Inne czekają na piekielny skalpel, który podczas pracy wydaje wysoki, kwaśny dźwięk wpadający przez uszy do ust.

- Co ty tu robisz gówniarzu!?

Jakaś potężna, cuchnąca towotem, owłosiona łapa chwyta mnie za kark, a potem ciągnie za ucho. Piszczę z bólu.

- Zwiewaj stąd k...mać, ale juuuz!!

Uciekam, aż się kurzy za mną. Dopiero pod kioskiem przystaję, ciężko dyszę, łapię

oddech i oglądam się za siebie. Ulica jest zupełnie pusta. W tej samej niemal chwili odwracam wzrok w stronę kiosku, z którego wnętrza dolatuje kaszel Raka Pustelnika.

Kiosk ten jest w swej istocie słupem ogłoszeniowymi, więc co jakiś czas zmienia swą średnicę. Dzieje się to za sprawą plakaciarza, którego wyróżnia spośród innych szarych ludzi karłowaty wzrost oraz długa, rozwichrzona broda. To on, używając drabinki i ławkowego pędzla osadzonego na kiju, nakłada kolejne warstwy klajstru, po czym nalepia rozmaite plakaty, które przede wszystkim zawiadamiają, informują, upominają lud pracujący miast i wsi. Rzadko są to plakaty wyzbyte oficjalnych treści państwowych, a kiedy już się zjawiają, zawsze wywołują autentyczne zainteresowanie. Na skutek tego okrągłak systematycznie tyje, a kiedy przekroczy masę krytyczną, krasnoludek zrywa zbitą warstwę makulatury, niczym korę z ogromnego drzewa, i kiosk powraca do swych pierwotnych rozmiarów.

Nieszczęsnymi władcami tego ogłoszeniowego słupa, w środku którego znalazło się miejsce na szwarc, mydło i powidło oraz małe krzeselko, jest para staruszków. Oboje mają wygląd kruchych trzcin, więc dlatego bez trudu mieszczą się w jego wnętrzu, wymieniając się dyżurami w porze obiadowej. Prawdziwy kłopot ma on, ponieważ dźwiga na swych plecach wielki garb. Do środka wchodzi tyłem, tak jak to robi rak pustelnik, wsuwając swój delikatny odwłok do muszli, z którą zrasta się na całe życie. Tak właśnie się ma z kioskarzem, bo też cały ten słup wydaje się spoczywać na jego garbie. I gdyby nagle staruszek znalazł się w niebezpieczeństwie, próbowałby zapewne uciekać razem ze swym kioskiem-muszlą.

Mijam zajezdnię tramwajową i idę wzdłuż wysokiego muru, za którym egzystuje, odgradzony od tumultu tego świata, klasztorny ogród. Nigdy naprawdę nie widziałem tego ogrodu, chociaż jestem przykładnym parafianinem. Widziałem go natomiast jeden, jedyny raz – we śnie. Ogród tonął w puszystej bieli – podobnie jak piekarnia – poproszony ciepłym śniegiem niczym mąką. Alejki ubrane w baranie kozuszkę tworzyły misterne arabeski, wpływające z białych pni symetrycznie rosnących, obsypanych kwieciem jabłoni. Pośrodku ogrodu siedział czarny kot i rozglądał się dookoła.

Przy bramie kościelnej nie było Ducey. Na murku odpoczywało stadko kaźmierskich gołębi. Minąłem kościół Bożego Ciała i wszedłem na Plac Wolnica. O tej porze nie było wielu klientów w barze. Obok tania jatka kusząca niskimi cenami bydłęcych i wieprzowych podrobów, a także koniny – w tym końskiego kabanosa – oraz innych mięsnych specjałów. Następnie fryzjerna – miejsce szczególnie znieawidzone przez dzieci i dorastającą młodzież.

Oto maestro Paganini, który posługuje się profesjonalnymi nożyczkami, płaskim, metalowym grzebykiem oraz ręczną maszynką do strzyżenia. Maestro nie pyta, każe siadać, po czym błyskawicznie zabiera się do roboty, dając popis swych zawodowych umiejętności. Każdy łeb podgala w identyczny sposób – na szlachciurę – wysoko aż po czubek głowy i wokół uszu. Pracuje nad wyraz sprawnie, osiągając trudną do wyobrażenia wydajność. Można to sprawdzić w okresie przedświątecznym i pod koniec roku szkolnego. Kolejka topnieje w oczach, a fryzjerska robota Paganiniego sprawia wrażenie pośpiesznej produkcji manekinów. Wchodzą doń żywi, długowłosi chłopcy, łobuzerscy, roześmiani, różnobarwni i pełni fantazji – zaciskając w dłoni pięćzłotówkę z rybakim – a wychodzą drewniane kukły, z głupimi, skruszonymi minami. Podgolone łby wpatrują się w wystawową szybę, by raz jeszcze zobaczyć swój jakże odmieniony czerep. Wyzbyci ochoty do żartów na swój temat, skurczeni i nieśmiali wracają do domów.

Jeszcze cukiernia, w której każde ciastko kosztuje złotówkę i mam przed sobą ulicę Węglową, zamkniętą ścianą kamienic stojących przy Augustiańskiej. Dochodzę do bramy, naciskam klamkę, by wejść do środka, do obszernej sieni, z której drewniane, kręte schody wiodą na górę, a potem na zewnątrz, na okalający od podwórka długi, drewniany ganek prowadzący do mieszkania ciotki i... nie mogę tego uczynić! Drzwi stawiają opór. Nie mogę tam wejść, bo... to nie jest już kamienica ciotki! Kamery zamontowane nad szklanymi drzwiami monitorują najbliższe otoczenie prywatnego obiektu. Nad szklanym portalem szklanej bramy neonowy szyld nieprzyzwoicie przymila się do potencjalnych klientów, zachęcając ich do korzystania z usług banku, którego hasłem jest pytanie rzucone także temu zlicytowanemu biedakowi: „I co jeszcze możemy dla ciebie zrobić?”.

„Zaraz wracaj!” – słyszę głos matki, ale nie dolatuje on do mnie z ambony podestu pierwszego piętra klatki schodowej, lecz z mojego zamkniętego wnętrza wypełnionego półprzytomną jaźnią. Słyszę ten głos sprzed półwiecza niczym ginące echo, chcę podążyć za nim, podporządkować się jego rozkazowi, lecz nie mogę. Moje gołąbki z kaszą dawno już wystygły.

A kiedy opadł kurz, wyłoniła się, ku memu zdumieniu i zaskoczeniu, moja zwyczajna starość.